



*jej*  
**STALKER**

Jest najgorszym,  
co mogło jej się przytrafić

LILY WHITE



Tytuł oryginału  
*The Danger You Know*  
Copyright ©  
Lily White, 2020  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2021  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

Redakcja:  
Julia Deja  
Korekta:  
Weronika Kucharczyk  
Katarzyna Olchowy  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-451-1

LILY WHITE

# JEJ STALKER

TŁUMACZENIE  
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2021



# Rozdział 1

Ari

Kiedy wspominam tamtą noc – tę pierwszą i ostatnią – początek końca tego wszystkiego, nie pamiętam szczegółów ataku. Powód śmierci Liama Kane’a nie miał dla mnie większego znaczenia.

Urodziłem się do jednego zadania, mój temperament wykuwał się w piecu obojętności, moja moralność w zasadzie nie istniała.

Jeżeli chodzi o szczegóły, liczyło się dla mnie tylko to, że Liam musiał umrzeć i że jeżeli umrze z mojej ręki, moje życie będzie lepsze. Miałem gdzieś, czy jest demonem opychającym prochy, które zabiły setki ludzi, czy aniołem harującym całymi dniami, żeby przekazywać miliony na cele dobroczynne.

Takie fakty mnie nie obchodziły. Ważne było tylko to, że wyznaczono za niego nagrodę. Dwa miliony dolarów, by być dokładnym.

Jedynе szczegóły, jakie musiałem znać, to że jest zwalistym facetem w średnim wieku, ma na oko metr osiemdziesiąt wzrostu, mieszka na strzeżonym osiedlu na północny zachód od Hollow Lake, że wróci do domu po dziesiątej wieczorem i będzie sam w gabinecie na pierwszym piętrze, gdzie przez pewien czas nikt na pewno nie będzie zwracał mu głowy.

A przynajmniej nikt oprócz mnie – człowieka, który miał go zabić. Intruza, którego nie interesowało, dlaczego kula miała znaleźć się w jego czaszce. Liczyło się tylko to, by trafiła.

I trafiła.

Kwadrans po dziesiątej Liam wydał ostatnie tchnienie. Pocisk, który zostawił po sobie niewielki otwór w prawej skroni i znacznie

większy w lewej, pogruchotał mu mózg. Według wszystkich doniesień Liam cierpiał na depresję i sam złapał za broń – potwierdzały to ślady prochu na jego dłoni. Jego bezwładne ciało leżało na biurku.

Ja byłem jedynie duchem, niewidoczną siłą sterującą jego ręką. I tak by pozostało, gdyby tylko jego córka – tuż po tym, jak zamknąłem za sobą okno – nie przyszła sprawdzić, co się stało.

Odwróciłem się, gdy usłyszałem jej głos, zachowałem się jak idiota. Jak krety. Nigdy się nie angażowałem. Była jednym z wielu szczegółów, których nie musiałem znać.

A jednak krzyk, który wydobył się z jej gardła, zatrzymał mnie w miejscu. Wylewające się z niej cierpienie, kiedy wołała do martwego ojca, sprawiło, że się odwróciłem i na nią spojrzałem.

Wymknął mi się oddech, obłok białej mgły w zimnym powietrzu nocy.

Nie byłem pewien, co takiego w niej dostrzegłem, że zamarłem w cieniu, by po raz pierwszy na nią popatrzeć, ale ta chwila spowodowała błąd oraz koniec życia bez przejmowania się innymi.

Tamtej nocy ujrzałem ją po raz pierwszy i już nigdy nie wybyłem się poczucia winy.

Adeline Kane miała wtedy szesnaście lat. Była zjawą o kruczoczarnych włosach i skórze tak bladej, że prawie połyskiwała w świetle księżyca. Miała kryształowo-błękitne oczy i usta tak czerwone, że ich barwy nie byłyby w stanie zmienić żadna szminka. A do tego sylwetkę anioła, nie pulchnego cherubina, lecz takiego, który spadł z niebios i miał tylko jeden cel: nieść karę ludzkiej duszy.

Nie chciałem wiedzieć, że jest artystką, która stawia tragedię nad romans.

Nie powinno mnie interesować, że najlepiej czuje się w samotności.

Nie zwracałem większej uwagi na fakt, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej, zanim zabiłem jej ojca, straciła matkę i że była dziedziczką niewielkiej fortuny po rodzicach.

Przez te wszystkie lata, gdy ją obserwowałem, przejmowałem się jedynie tym, że w chwili śmierci ojca pękła, że ja odszedłem, a jej życie, właśnie w tamtym momencie, wymknęło się spod kontroli. Że poczułem się odpowiedzialny za tę przeistaczającą się w kobietę dziewczynę. I że poruszyła we mnie coś, z czego istnienia nawet nie zdawałem sobie wcześniej sprawy.

Byłem od niej dziesięć lat starszy.

Byłem zawodowym zabójcą.

Byłem znakomitym zabójcą.

Ale tamtej nocy stałem się kimś jeszcze.

Prześladowcą.

Nieniknącym cieniem.

Mężczyzną, który zamierzał bronić ją przed światem.

\*\*\*

*8 listopada 2014*

Sobotnia noc, na niebie wisi księżyc w pełni, a mnie otula całun pierwszego śniegu. Ostatnim miejscem, w którym chciałbym się znaleźć, jest chodnik przed nocnym klubem.

Nie znoszę takich spelun. Zawsze są rzeźbiście oświetlone, dudnią muzyką i emanuje z nich zapach buzujących młodzińskich hormonów, przebijających się spod smrodu papierosów i alkoholu. Od lat unikałem zatłoczonych pomieszczeń i ocierających się o mnie spoconych ciał.

Tylko przez nią mogłem trafić do jednego z tych przybytków, Czarnej Orchidei, klubu dla gości z upodobaniem do makabry.

Muszę przyznać, to nie jest typowy klub. Wnętrze ma udawać lochy, zewnętrzną fasadę pokrywają sztuczne głązy odgrywające zamkowe mury. Wszyscy ludzie w kolejce ubrani są na czarno, niektórzy poprzebierani za wampiry, inni zbyt tępi, żeby wiedzieć, że fantazja zawsze jest przyjemniejsza od rzeczywistości.

Tak, też tam jestem, stoję obok drzewa zasadzonego na środku chodnika, opieram się o otaczające pień metalowe okratowanie i wbijam wzrok w od niedawna pełnoletnią kobietę, która zbyt dużo wypija i niecierpliwie czeka, aż wpuszczą ją do środka.

Kobiecie towarzyszy jej skretyniały chłopak, kolejna przelotna znajomość. Na widok jego obcisłych dżinsów i bezładnie zwisających włosów ledwie utrzymuję nerwy na wodzy. Nie ma co ukrywać – Adeline ma fatalny gust, ale na szczęście ten palant na pewno szybko zniknie z jej życia.

Adeline wytrzymuje z kolejnymi chłopakami kilka tygodni, co najwyżej miesięcy, bo nie należy do kobiet skorych do trwałych zobowiązań.

Jej nawyki i decyzje doprowadzają mnie do szału już od dwóch lat. Przyglądałem się, jak traciła dziewictwo na tylnym siedzeniu samochodu, widziałem, jak skakała z kwiatka na kwiatek. Byłem milczącą zjawą zliczającą chłopaków i mężczyzn, z którymi się zadawała, nie bacząc na swoją reputację. Było ich trzynastu, skoro już przy tym jesteśmy, ale jeżeli przyjdzie wam ochota, żeby ją oceniać, to was wypatroszę i będę się rozkoszował waszymi krzykami.

Nie chodzi o to, że zależy jej na uwadze innych i chce się popisywać, po prostu znajdowała się w złych miejscach o złej porze, a ci goście, jak wszystko, co ma fiuta, bez mrugnięcia okiem wykorzystywali okazję.

Wygląda na to, że ona ani razu się tym nie przejęła i podziwiam ją za to bardziej, niż powinienem. Jest wolnym duchem, promieniem światła, który potrafi przebić się przez mroczny krajobraz mojego wycofanego życia.

Adeline nie należy do ludzi, którzy się do czegoś przywiązują. W bolesnych chwilach szuka jedynie ulgi, ucieczki łagodzącej ciężar egzystencji spędzonej w niezrozumieniu ze strony wszystkich, którzy ją znają.



Wszystkich poza mną. Z drugiej strony przecież nigdy się nie spotkaliśmy, przynajmniej nie w formalnym znaczeniu tego słowa. Nie w sposób, który mogłaby zapamiętać.

Mimo to wiem o niej wszystko.

Wiem, że jest piekielną otchłanią, która pochłonie cię, zanim w ogóle się zorientujesz, co się dzieje.

Wiem, że kręci ją władczość i strach, nie znosi za to słodziutkich i płytkich romansów.

Wiem, że miewa fantazje, które ludzie uznaliby za niemoralne i złe.

Wiem, że nigdy nie odsłania się przed światem, bo ten od razu by ją osądził.

I wiem, że żaden z kretynów, z którymi była, nigdy nie pojął, jak brudna i złamana naprawdę jest.

Nie potrafią wydusić z niej krzyku. Nie potrafią doprowadzić jej do końca. Potrafią co najwyżej skłonić ją, żeby kładła się pod nimi i udawała, że sprawia jej to przyjemność.

Nie będę zaprzeczał, że to ostatnie mnie bawi, choć nie pozwolę sobie, żeby coś w tej kwestii zrobić. Ta kobieta ma swoje problemy. Identyczne z moimi.

Dziś ma osiemnaste urodziny i stoi właśnie pod klubem, do którego wpuszczają od dwudziestu jeden lat. To dla niej typowe – buntowniczość, cecha, która większość rozsądnych ludzi doprowadza do szaleństwa, natomiast mnie przyzywa niczym szepcząca kochanka.

W pewnym momencie ruszę jej śladem, ale na razie wystarczy mi stanowisko pod drzewem.

Komórka w mojej kieszeni zaczyna dzwonić; wyciągam ją i widzę nazwisko Lincolna.

– Gdzie jesteś?

Nie czeka nawet na jedno moje słowo i od razu domaga się odpowiedzi, której nie mam ochoty udzielać.

– Na spacerze – mówię.

Z głośnika dobiega jego głośny, głęboki śmiech.

– Sracerze. Znowu ją śledzisz, prawda?

– Trzeba jej pilnować.

Lincoln przeklina pod nosem.

– Tu akurat masz rację. Co aktualnie porabia mała psychopatka?

– Czeka pod Czarną Orchideą.

Lincoln na moment milknie, po czym stwierdza:

– Jest za młoda.

– Jak zwykle – stwierdzam ze szczyptą rozbawienia w głosie. – Ale ma podrobiony dowód.

– Myślałem, że jej go zabrałeś.

Zabrałem jej trzy fałszywe dowody, ale zawsze zdobywa nowe. Skończy się na tym, że będę musiał zabić gnoi, którzy sprzedają jej takie dokumenty. Wspominam o tym Lincolnowi, na co ciężko wzdycha.

– Nie ma nad nią żadnej kontroli.

– Cierpi – rzucam, choć nie powinno to mieć żadnego znaczenia.

– Ari, to jeszcze dzieciak. Odbiło ci, że za nią łazisz.

Ma rację.

– Wchodzi do środka. Fajnie się gawędziło. Pouczające pogadanki zawsze w cenie, ale muszę kończyć.

Uciszyłem jego śmiech, naciskając kciukiem właściwy przycisk i przerywając połączenie.

Dupek.

Lincoln Major to zabójca, jak ja. Nieznikający wrzód na mojej dupie, odkąd się zaprzyjaźniliśmy, gdy wszedłem w tę branżę. Tylko jemu ufam na tyle, że pozwalam mu pilnować Adeline, kiedy sam mam zlecenia. Zdążył się już nauczyć, że ona też jest wrzodem na dupie.

Jak większość gości czekających w kolejce do Czarnej Orchidei jestem od stóp do głów ubrany na czarno, włosy mam równie czarne jak odzież, tylko oczy stalowoszare i niewzruszone. Jestem przynajmniej siedem lat starszy od większości z nich, ale

nie uczesałem się i nie goliłem od kilku dni, żeby upodobnić się do młodych.

Wiedziałem, że zbliżają się urodziny Adeline i że będę musiał wtopić się w jakiś przybytek tego pokroju.

Zamiast stawać w kolejce jak reszta tego niecierpliwego prostactwa, podchodzę prosto do drzwi, płacę bramkarzowi połowę jego miesięcznej pensji, wchodzę do środka i wodzę wzrokiem po licznych parkietach, podestach tanecznych i klatkach. Szukam cholernie wkurwiającej dziewczyny, której nie potrafię pozbyć się z głowy.

Gdy znajduję ją przy barze, palec, którym naciskam spust, automatycznie drga. Spomiędzy jej pełnych ust wystaje patyczek lizaka, a debil, którego ze sobą przyprowadziła, trzyma ręce na jej tyłku i wtula się w jej szyję.

Muszę się hamować, żeby tam nie podejść i go nie połamać. Zasługuje na to każdy, który jej dotyka.

Wcale nie sprawia jej to przyjemności, choć on tak myśli. Wiem swoje. Uśmiech, którym go obdarza, jest fałszywy jak ćwiek połyskujący w jego uchu. Kwadratowy cyrkon, bo przecież na brylant go nie stać. Koleś posiada dokładnie dwieście siedemdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia dwa centy. Nie żebym monitorował jego konto, odkąd zaczęli się spotykać.

No dobrze, niech będzie. Wiem o Jasonie Ayersie wszystko, ale wyłącznie dla jej dobra.

Maca paluchami jej podbródek, po czym bierze drinki, za które ona zapłaciła.

Zaciskam zęby i obserwuję, jak przedzierają się przez gęstniejący tłum i stawiają szklanki na wysokim stoliku w udającej loch salce. Ściany zdobią sztuczne pejczy i plastikowe łańcuchy, w klatkach wyginają się półnagie kobiety.

Jason trzyma się blisko stolika, podczas gdy Adeline staje przy rurze, wyciąga ręce i łapie ciemny metal nad głową, a jej biodra zaczynają bujać się do kretyńskiej emo/retro/alternatywnej gów-

no-muzyki, przez którą krwawią mi uszy... i którą już zawsze będę z nią kojarzył, bo tylko przez nią muszę jej słuchać.

Niemniej widok Adeline sprawia, że nawet ta muzyka robi się znośna. Jestem zahipnotyzowany jej ruchami tak samo, jak jej pozbawiony jaj chłopaczek, który coraz bardziej mnie wpienia.

Czuję się jak pedofil, ale i tak wślizguję się do salki, stapiam z ciemną ścianą i obserwuję Adeline. Jej biodra przeistaczają się w ciecz, jej ciało staje się muzyką.

Z głośników dudni *Send Me An Angel Real Life*; szybkie tempo kawałka wymusza dynamiczniejsze ruchy ciała, samo wyciąga jej ręce do przodu. Falowanie jej bioder rozbudza pożądanie w mojej piersi. Moje oczy zazdroszczą stroboskopom oświetlającym jej twarz i kolorowym światelkom sunącym po jej skórze jak dłonie kochanka. Patrzę jak urzeczony, moja głowa opiera się o ścianę, a język przemyka nieśpiesznie po zębach.

Nie pomaga nisko opuszczona miniówka, która i tak sięga ledwie do połowy ud, ani to, że kawałek szmaty, którą nazywa koszulką, w ogóle nie zasłania jej wyrzeźbionego brzucha. Opina ją za to ciasno w piersiach, nie pozostawiając wyobraźni pola do popisu. Adeline nie ma problemu z tym, że ludzie znają wygląd jej ciała.

Lubi nagość. Często się zastanawiam, czy wie, że patrzę. Jest kusicielką z tragedią w oczach i czarną duszą, jej serce bije w stalowej klatce. Tylko ja mam do niej klucz, ale ona o tym nie wie. I nigdy się nie dowie.

Krzyżuję ramiona na torsie; mam wrażenie, że patrzę na nią od wielu godzin. Jej chłopaczek goni po kolejne drinki – na jej rachunek, mógłbym dodać – i pochłania je, podczas gdy ona wciąż tańczy. Adeline jest pokusą, która przyciąga wzrok wielu drapieżników. Krążą wokół niej jak rekiny.

Tymczasem ten kretyn w przyciasnych portkach nie ma o tym pojęcia, przynajmniej dopóki jeden z odważniejszych rekinów nie podplywa, żeby posmakować, co Adeline ma do zaoferowania.

Na moje oko jest niewiele starszy od niej: łąjący strach na wróble z naželowanymi w szpic blond włosami i kolczykami w twarzy. Kiedy staje przed Adeline, spod kołnierzyka na karku wystaje mu tatuaż. Jej oczy delikatnie się otwierają i obdarza go tym samym ulotnym, sztucznym uśmiechem, co wszystkich pozostałych. Tym, przez który czują się wyjątkowo, choć ona ma ich za nic. Facet ujmuje jej policzek w dłoń i nachyla się, żeby ją pocałować.

Wiem, co sobie myślicie. Powinna go odepchnąć. Powiedzieć, że ma chłopaka. Napomknąć, że tenże chłopak stoi niecałe dwa metry dalej.

Ale tego nie robi.

Nie Adeline.

Nie dziewczyna, która ma ich wszystkich gdzieś.

Jeśli chcecie, możecie nazwać ją zdzirą. Świącie oburzyć się jej rozwiązłością. Ale ona będzie miała w dupie wasze zdanie, bo żyje, jak chce. Nie można tego powiedzieć o dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach populacji, ludziach uwielbiających wygodne mury więzienia społeczeństwa.

Adeline zlegnie w grobie, nie żałując tego, jak żyła, co najwyżej będzie miała żal o gównno, jakie to życie próbowało jej wcisnąć. Szanuję to. Sam też to ucieleśniam. Znajduję w niej więcej prawdy niż w kimkolwiek innym.

Dlatego nie potrafię odwrócić wzroku.

Dlatego, że zawsze daje mi znakomitą rozrywkę, zwłaszcza w chwilach takich jak ta.

Zamiast odepchnąć nieznanego, wtapia się w niego. Nadal się porusza w kuszącym rytmie, a jej usta otwierają się szeroko, by przyjąć jego język. Wiem, że gdyby ktoś potrafił zagrać na jej ciele, to rznąłaby się tak samo, jak teraz całuje.

Gorąco.

Otwarcie.

Bezwstydnie.

Nie jestem zazdrosny. Reakcja niektórych części mojego ciała to czysta natura. Nie da się jej zapobiec. Jak przy oglądaniu pornoli. To nie znaczy, że chciałbym ją dla siebie.

Jest za młoda. Jestem jednym z głównych powodów, przez które ma złamane serce. Byłbym samolubny, gdybym ją wykorzystał.

Więc dlaczego sam sobie nie wierzę, gdy opowiadam takie rzeczy? W pewnej mierze pomogłem ją stworzyć, byłem częścią szajsu, przed którym próbuje teraz uciec.

Ale, ja pierdołę, dzięki tym wszystkim ranom jest piękniejsza.

Gdy jej bezjajeczny chłopaczek odrywa w końcu oczy od telefonu i zauważa, co wyczynia jego dziewczyna, kącik moich ust delikatnie się unosi. Kiedy z zaskoczenia opada mu szczęka, moje ramiona podnoszą się od stłumionego parsknięcia. Biedaczek dowiedział się właśnie, że jest tylko kolejnym numerem, żalonym wypełnieniem jednej z milionów chwil jej życia.

Większość ludzi mogłaby założyć, że Adeline jest pijana i nie wie, co robi, ale ja ją już widziałem w podobnych sytuacjach. Doskonale wie, co się dzieje. Bezjajeczny popełnił fatalny w skutkach błąd: na moment odwrócił uwagę, przez co dziewczyna przelała mu się pomiędzy palcami jak bystra woda.

Cholera, naprawdę ją podziwiam. Kobieta, która do tego stopnia niczym się nie przejmuje i niczego nie boi, to biały kruk, zwłaszcza w jej wieku.

Zmieniam pozycję i obserwuję z krzywym uśmieszkiem, jak Jason zrywa się z krzesła, żeby wysunąć roszczenia do swej przyszłej byłej, ale zamiast skonfrontować się z facetem, który właśnie wciska jej język w gardło, jak zrobiłby prawdziwy mężczyzna, łapie ją za rękę, szarpie i próbuje odciągnąć.

W tym momencie powinienem zainterweniować i pomóc. I zrobiłbym to, gdybym nie znał Adeline. Ona nie jest ofiarą – to kolejny powód, dla którego tak mnie intryguje. Jason nie ma pojęcia, co go czeka.

Przypadkowy koleś, z którym się całowała, odchodzi w swoją stronę jak jakiś wystraszony dupek; nie pali się do pomocy kobiecie poniewieranej przez dwa razy większego typu.

Adeline wyrывa się Jasonowi, a jej błękitne oczy rozpara blask jaśniejszy niż tysiąc słońc, zaciekły żar, przestroga przed jej gwałtownością.

Jeden cios i odpycha Jasona o kilka kroków, a jej usta się otwierają. Mówi mu, żeby trzymał łapy przy sobie, następnie łapie drinka i naprawdę mocno rzuca nim w chłopaczka. I nie mówię tylko o płynie, ale o całej szklance. Na koniec przygważdża go do ściany i wyjaśnia, gdzie sobie może wsadzić takie zachowania.

*Moja dziewczynka...*

Randka w zasadzie dobiegła końca. Jason z podkulonym ogonem niknie w tłumie, a Adeline odprowadza go wzrokiem. Adrenalina zarumienia jej policzki i unosi pierś w szybszym oddechu.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

Jest naprawdę niezwykła.

Zamiast się rozplakać albo przejąc sceną, którą właśnie zrobiła, Adeline znajduje niedopitego drinka, bierze łyk, odkłada szklankę i wraca do tańca, tym razem do bitu nieco szybszego kawałka.

Wzdycham i kręcę głową; cieszę się, że przyszedłem ją ponianczyć. Jest teraz samotną, pijaną dziewczyną w klubie. Reki-ny krążą więc szybciej, a ja muszę się upewnić, że nie skończy w szczękach drapieżnika, z którym sama nie da sobie rady.

Mija kilka godzin. W tym czasie Adeline pije zdecydowanie zbyt szybko jak na swoją wagę i cały czas tańczy – jej ciało pokrywa lśniący pot. Jej włosy, które nieustannie przeczesuje, zamieniły się w dziką burzę. Z zamkniętymi oczami zatracą się w muzyce; ubrania ciasno przywarły do jej rozgrzanej skóry.

Kilku facetów próbowało szczęścia. Niektórzy tańczyli obok i odchodziłi, gdy do nich docierało, że nawet nie dostrzegła ich obecności. Jeden próbował ją pocałować, ale, ku mojemu zdzi-

wieniu, odepchnęła go. Był to dla niej typowy wieczór – spirala autodestrukcyjnych zachowań, przez które pada ofiarą samej siebie.

Z biegiem nocy obserwuję, jak coraz bardziej chwieje się na nogach, nie potrafiąc skupić spojrzenia. Jak płynący w jej żyłach alkohol w końcu bierze nad nią górę.

I wtedy podchodzi kolejny facet. Ponad metr osiemdziesiąt pięć, dobrze ponad stowa wagi, typowy awanturnik – widziałem, jak wcześniej pracował nad inną dziewczyną. Nie rozumie słowa „nie”, a Adeline w tym stanie nie da rady go odepchnąć.

Znowu jest przy murze, buja biodrami, zanurzona myślami w prześladowających ją koszmarach. I po raz pierwszy od lat wiem, że muszę wkroczyć.

Gnój zaczął od tego, że przyszpilił ją do rury. Jego tłuste paluchy bez trudu objęły jej delikatne nadgarstki.

Stawiam krok. Nie mam ochoty się ujawniać i mam nadzieję, że jest zbyt napruta, żeby to zapamiętać.

Gdy przemykam pomiędzy ludźmi, bydlak kładzie drugą dłoń na jej biodrze, a ona otwiera oczy i wbija w niego upojony wzrok.

Widzę, jak mówi mu, żeby spierdalał, jak próbuje się wyrwać, ale to nie jest typ, którego obchodzi, co kobieta ma do powiedzenia. To typ, który poluje na słabszych, pozbawionych ochrony.

Z nim Adeline sobie nie poradzi.

Powinienem zostać pod ścianą. Nie powinienem interweniować.

Gdybym tylko pilnował swoich pieprzonych spraw, nie popełniłbym błędu, który w ogóle wciągnął mnie w jej orbitę, którego będę żałował do końca pieprzonego życia.

Błędu, przez który uzależniłem się już po pierwszym posmakowaniu towaru.



# Rozdział 2

## *Adeline*

Nikt mnie już nie dostrzega.

Nie żeby kiedykolwiek ktoś naprawdę mnie dostrzegął. Prawdziwą mnie. Dziewczynę wyglądającą zza fasady normalności, tej od sztucznych uśmiechów i opowiadania tych normalnych rzeczy, których wszyscy oczekują.

Miałam kiedyś rodzinę. Przyjaciół. Kiedy byłam młodsza, znałam dziewczynki, które jeszcze nie zdawały sobie sprawy, że jestem inna. Teraz, gdy dorosłam, częściej towarzyszą mi faceci.

Z chłopakami jest łatwiej. Nie zapraszają mnie do miejsc, w które nie mogę się udać przez moje sekretne problemy.

Na przykład na wspólne noce w śpiworach na podłodze, te schadzki, podczas których dziewczynki zaplatają sobie warkocze i gadają o ciuchach. Takie przyjemności się skończyły, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, bo miałam zaburzenia, przez które w nocy wstaję i łażę po domu, przez które grzęznę pomiędzy kurtyną świadomości a snami, całkowicie świadoma, że coś nie gra.

Dziewczyny nie są w stanie sobie z tym poradzić, a chłopcy potrafią. Jeden z moich najlepszych przyjaciół nauczył się opłacać mnie ramionami, gdy się rzucałam, i szeptać mi do ucha, żeby delikatnie mnie wybudzić. Ale potem wyjechał na studia. Teraz nie ma nikogo, kto mógłby mnie przytulać.

Wolę kolegować się z facetami, bo łatwiej się z nimi dogadać, dotrzymują mi towarzystwa i nie oczekują zbyt intensywnych rozmów.

Nie lubię mówić, a to kolejna przeszkoda na drodze budowania kobiecych przyjaźni. I wcale nie chodzi o to, że nie kotłują się we mnie miliony najróżniejszych, żywych myśli, po prostu boję się, co mogłabym powiedzieć.

Gdy ludzie opowiadają ci o swoich snach, a ty odpowiadasz, że śnisz wyłącznie koszmary, dziwnie na ciebie patrzą. Gdy płaczą nad chorym krewnym, a ty wyznajesz, że zazdrościsz umierającym, czują się niezręcznie. Gdy mówisz, że nie pasujesz do własnego życia, że utknąłeś w obcym miejscu, nie rozumieją.

Nie mam depresji. Potwierdziły to niezliczone wizyty u terapeutów. Nie jestem pusta w środku. W gruncie rzeczy wręcz przeciwnie.

Jestem bujna.

Naelektryzowana.

W moim umyśle zderzają się całe światy, ale muszę to wszystko tłumić i być uprzejma. Muszę się ukrywać, żeby ludzie nie pomyśleli, że mi odbiło. Nikt nie widzi prawdziwej mnie, bo świat oczekuje, bym zakładała maskę.

Więc zakładam. Od przynajmniej szesnastu lat. Zasłaniam nią twarz każdego ranka i zrywam ją każdej nocy. Robię i mówię, co trzeba. Mam talent do udawania, że jestem kimś innym.

Kiedy dorastałam, ludzie komplementowali mnie z najdziwniejszych, konwencjonalnych powodów. Prawdziwa ja gapiła się na nich wtedy z szerokim uśmiechem i myślała: *ech, tępe chuje, nie macie o mnie bladego pojęcia.*

Rodzice jeszcze wtedy żyli; urządzali mi wykłady o reputacji, obyczajności i damskiej przyzwoitości. Ogromnie ich kochałam, ich śmierć mnie zniszczyła, lecz gdy z ich zwłok uszło życie, a duchy odeszły, zabrały ze sobą moje śliczne opakowanie.

Teraz jestem „biedną, małą Adeline” – dziewczyną, która ma powody do smutku, która ma prawo szaleć poza wszelką kontrolą, bo przecież ogromnie cierpi.

Nikt nie wie, że nigdy się nie kontrolowałam. Teraz po prostu przestałam to ukrywać.

Lubię tę wolność. Tę wymówkę. Gdy naszła mnie ochota na eksperymenty, ćpałam. Potrafię przepić większość ludzi. Uprawiam seks z facetami, z którymi nie powinnam, w miejscach, w których nie wypada, a jeśli odchodzą, mam to gdzieś. Nie ma sensu ich zatrzymywać. I tak nie widzieli prawdziwej mnie. Nigdy nie rozsuwają zasłony, za którą mogliby zobaczyć, jak bardzo pragnę obecności drugiego człowieka.

To pragnienie nigdy nie cichnie. Czasami przytłacza. To pogoń za czymś poza moim zasięgiem, a najbardziej irytujące jest to, że sama nie wiem, czego potrzebuję. Wiem tylko, że tego potrzebuję.

I właśnie to doprowadziło mnie do tego momentu, do nocy moich osiemnastych urodzin. Jestem sama w klubie, zatracam się w rytmie *Sweet Dreams* w wersji Mansona, otaczają mnie czarne ściany i straszne klatki. Tańczę sama, bo nie chcę żadnego partnera i myślę o tym, czego tak pragnę.

Oczywiście za dużo wypiałam, zwłaszcza gdy Jason okazał się zaborczym dupkiem i szarpnął mnie za włosy. Przestałabym całować się z tym drugim kolesiem, wystarczyło poprosić. Ale on zrobił się agresywny. Jakbym była jego własnością.

Jakby ktoś tak słaby był w stanie mnie posiąść.

Myślę, że ktoś silniejszy ode mnie mógłby mnie posiąść. I nie tylko fizycznie, ale też mentalnie. Ktoś, komu zdradziłabym wszystkie tajemnice, a mimo to by nie uciekł. Ktoś, kto mnie zna i akceptuje, że zależy mi tylko na wolności.

Nie muszę dodawać, że jeszcze nie poznałam takiego człowieka, więc gdy Jason wyszedł, nieszczególnie się zmartwiłam. Postanowiłam, że będę cieszyła się urodzinami z jedyną osobą, której ufam: z samą sobą.

Wszystko szło świetnie, dopóki nie pojawił się ten zboczeniec, który postanowił darować sobie wabienie mnie na tylne siedzenie swojego vana i od razu położył na mnie łapska.

Palant unieruchamia mi nadgarstki, drugą dłoń kładzie na moim biodrze. Uważa, że choć próbuję się wyrwać, może mnie krępować. Sądzi, że może mnie ignorować, choć mówię, żeby spierdalał. Nachyla się, żeby mnie pocałować i to z uśmiechem; chyba nie wie, że mam ostre zęby i jestem naprawdę rozjuszona.

Nie należę do miękkich dziewczynek, które boją się, że zrobią komuś krzywdę. Jestem suką z prawdziwego zdarzenia i bardzo nie lubię facetów, którzy nie rozumieją, co to znaczy „nie”.

Palant nie zwrócił uwagi na moje kolano, przynajmniej dopóki nie wbiłam mu go w krocze. Normalny facet po takim ciosie by się przewrócił, złapał za obolałe jaja i po chwili odkuśtykał, ale ten ledwie się krzywi i wyszczerza zęby.

Otwieram szeroko oczy; dociera do mnie, że mam przejebane.

Wzmacnia chwyt na moich nadgarstkach, przez co czuję, jak miażdży mi kości. Jego dłoń przemyka z mojego biodra pod spódnice. Skurwysyn zamierza wziąć, na co ma ochotę, zupełnie nie zwracając uwagi na otaczający nas tłum, a ja niestety nie jestem pewna, czy zdołam przekrzyczeć muzykę.

Niedobrze.

Może jednak nie powinnam tyle pić. Sala zaczyna wirować i teraz zamiast jednej widzę trzy paskudne mordy gapiące się na mnie z zachłannością wygłodzonego kundla. Jego paluchy wędrują w górę mojego uda, knykcie ocierają się o majtki.

Jeszcze raz próbuję się wyrwać, ale dociera do mnie, że nie jestem w stanie walczyć i tylko przetykam ślinę. Moja siła zniknęła, odwaga się rozwiała. Ich miejsce zajmuje mrożący oddech w płucach strach.

Moja krew zamienia się w lodowatą wodę, pot po tańcu staje się nagle zbyt lepki, nie mogę przez to uwolnić nadgarstków, które tylko się o siebie ocierają, coraz bardziej obolałe. Serce podchodzi mi do gardła i zaczyna stepować.

Cholera. Tym razem chyba naprawdę przeszarżowałam.

Nagle coś popycha mnie w przód. Zaciśnięte na moich dłoniach palce puszczają, moje ciało zaś zwala się na podłogę; uderzam w nią biodrem i czuję pulsujący ból.

Odgarniam z oczu skleione włosy i podnoszę wzrok. Nie wiem, czego oczekiwać, ale na pewno nie widoku tego palanta przyciśniętego do ściany przez innego, równie postawnego mężczyznę. To na pewno bramkarz. Dzięki Bogu, że zauważył, co się dzieje.

Ten nowy szarpie palantowi rękę za plecy pod bardzo boleśnym kątem. Napina biceps i szepcze coś do ucha dupkowi, który myślał, że może mnie sponiewierać. Nie jestem pewna, czy wzrok mnie nie myli, bo moje żyły zalewa mieszejaca się z alkoholem adrenalina, ale mogłabym przysiąc, że gdy gnój usłyszał słowa nieznanego, odplynęła mu z twarzy cała krew.

Palant jest przerażony – na nogawce jego dżinsów pojawia się mokra plama.

Ten drugi puszcza jego rękę i się odsuwa, a kretyn, który mnie obłapiał, ucieka w tłum, przewracając kilkoro pechowców stojących mu na drodze.

Nowy się odwraca. Patrzę na niego, jednak nie potrafię skupić wzroku.

Chyba jest przystojny. Kwadratowa szczęka, ciemne włosy, okrutne usta, szerokie bary, wąska talia – sylwetka w kształcie odwróconego trójkąta, z którą rodzą się nieliczni szczęśliwcy.

Albo jestem nawalona jak nigdy, albo ten koleś jest boski.

Na pewno to pierwsze.

Tacy cudowni faceci nie pracują w klubach dla gotów.

Podchodzi, łapie mnie za rękę i podnosi, ale się chwieję, bo mikstura alkoholu i adrenaliny nie pozwala mi złapać równowagi.

– Czas się zbierać, ptaszyno. Dość już wypiałś.

*Ptaszyno? Co to ma znaczyć, do cholery?*

Otwieram usta, żeby o to zapytać, tyle że czuję na wargach materiał jego t-shirtu, ponieważ przyciąga mnie do siebie i za-

czyna prowadzić. Aromat jego perfum jest tak mroczny i dekadentcki, że głęboko się nim zaciągam i smakuję każdą jego nutę.

Pachnie ogniem i głęboką jaskinią, pikanterią i zakazanymi zakamarkami, sekretami i tajemnymi zgromadzeniami. Wszystkim, co prześladowuje mnie nocami i nie pozwala spać.

Ten wspaniały zapach dociera pomiędzy moje nogi i szepcze mi na ucho nieczyste słowa. Miękną mi kolana i wspieram się na nim mocniej.

– Nie jestem ptaszyną – sprzeciwiam się, niepewna, czy w ogóle dosłyszysz mój bełkot przez walącą głośno muzę.

Jego tors trzęsie się od śmiechu, gdy podnosi moją rękę i zarzuca ją sobie na kark.

– Jesteś. Machasz skrzydełkami, choć nie umiesz jeszcze latać.

Bzdury. Nie zna mnie. Nieznajomy nie może widzieć czegoś, czego nie dostrzegali nawet moi najbliżsi przyjaciele. To tylko wkurzony scena, jaką wywołałam, bramkarz, który próbuje wyprowadzić mnie z klubu.

Na zewnątrz jestem dziewczyną, która przesadziła z alkoholem. Ale w środku konam.

Nie z żalu.

Nie z bólu.

Z czegoś znacznie bardziej przerażającego i znacznie głębiej skrytego.

Czasami zatrzymuję się na dość długo, żeby się nad tym zastanowić, a i tak nie potrafię wyjaśnić, co czuję.

Najbliższe skojarzenie to poczucie swobody w przestrzeni – tak musiałyby się czuć osoba dryfująca w czarne przestworza i obserwująca coraz mniejszą i mniejszą kulę ziemską. Pochłaniana przez zimno i mrok. Ale zamiast paniki czujesz wówczas dziwną rezygnację... Godzisz się z tym, że już nigdy nie wrócisz do domu.

Mówią, że gdyby można obserwować człowieka zbliżającego się do kresu zdarzeń czarnej dziury, to ten w pewnym momen-

cie na zawsze zamarłby w miejscu, przynajmniej pozornie, bo za horyzontem staje czas. Po prostu znika.

Może właśnie tak się czuję.

Że nie istnieję w czasie.

Że tkwię w miejscu, z którego nie ma powrotu i w którym nie da się iść naprzód.

Nie chodzi o to, że jestem samotna. Wolę własne towarzystwo. Ale czegoś mi brakuje i nawet nie potrafię tego nazwać.

Ten facet też nie potrafi. Dopiero mnie poznał.

– Gdzie idziemy?

– Ty do domu – odpowiada gładkim barytonem, który wibruje mi w uszach. – Dzwonię po taksówkę.

Klub wydaje się nagle zbyt tłoczny, mój żołądek skręca się z głodu i nadmiaru alkoholu. Teraz jest mi za gorąco, chłód strachu ustąpił żarowi paniki.

– Chyba za dużo wypiałam.

– Bez wątpienia.

Przemykamy pomiędzy ludźmi; ledwie powłóczę nogami, a jego ręka owija się mocniej wokół mojej talii, żeby podtrzymać mnie w pionie. Ciepło jego ciała jest w pewien sposób uspokajające. Dzięki tej stalowej obręczy przynajmniej nie wywalę się na dupę.

Wszystko wokół mnie szybko się zawęża.

Ściany sklepiają się nad moją głową, ludzie zlewają się w jedną masę. Wpadamy na coś. Następuje przepychanka, słyszę jakieś oskarżycielskie głosy, sala zamienia się w tunel tak wąski, że na pewno się przez niego nie przecisnę, jednak stalowa obręcz nie puszcza.

– Chyba...

Przyśpiesza kroku, ale i tak idziemy za wolno. Moje nogi ustępują, głowa wydaje się ociężała i nieporęczna. Nie ma już muzyki, tylko miarowy bas. Staram się z całych sił, niestety nie jestem w stanie powstrzymać opadających powiek.

– Chyba odpływam.

Mężczyzna coś odpowiada, lecz nie potrafię go zrozumieć; moje ciało się poddaje. Wyszeptane przekleństwo, syczący dźwięk. Moje nogi zamieniają się w galarete, robię się ciężka jak gład. Upadam – wówczas kolejna stalowa obręcz zaciska się wokół moich nóg i mnie podnosi.

Przykładam twarz do jego piersi, twardej powierzchni pod miękką bawełną.

Palce zaciskają się na tkaninie jego koszuli; ponownie się ciągam, po czym połyka mnie ciemność.

– Pachniesz tak znajomo...

Nie wiem, czy te słowa naprawdę opuściły moje usta.